

„PIESZCZOSZKI SYSTEMU” ZAKŁADAJĄ WOLNE ZWIĄZKI ZAWODOWE

Prezentujemy zapis panelu dyskusyjnego, który odbył się na zorganizowanej przez Oddział IPN w Katowicach 21 lutego konferencji naukowej „Wolne Związki Zawodowe z perspektywy 30 lat”. Uczestniczyli w nim Joanna Duda-Gwiazda, Andrzej Gwiazda, Stefan Koźłowski, Kazimierz Świtoń, Mirosław Witkowski i Krzysztof Wyszkowski oraz Jarosław Neja jako prowadzący.

Jarosław Neja – Ta część naszych obrad zatytułowana jest „Lokalna specyfika komitetów środowisk Wolnych Związków Zawodowych”. Pod tym pojęciem kryje się dość szeroka tematyka. W latach siedemdziesiątych powstały trzy komitety WZZ. Pierwszy z nich, założony 21 lutego 1978 r. (w literaturze można spotkać również datę 23 lutego, ale w meldunkach operacyjnych MSW istnieje ta pierwsza data), powstał w Katowicach. W kwietniu powstała następna taka organizacja, na Wybrzeżu. Najpóźniej został utworzony Komitet Założycielski WZZ Pomorza Zachodniego w Szczecinie, w październiku 1979 r. (choć rozmowy na ten temat i koncepcja pojawiły się rok wcześniej, na jesieni roku 1978).

Proszę o przedstawienie inspiracji w powołaniu kolejnych komitetów, form działalności i aktywności poszczególnych środowisk WZZ oraz relacji pomiędzy nimi i z innymi środowiskami opozycyjnymi.

Kazimierz Świtoń – Przede wszystkim dziękuję dyrektorowi IPN w Katowicach, że pamięta o trzydziestolecu Wolnych Związków Zawodowych, bo są ludzie i środowiska, którzy chcieli zmarginalizować ich działalność.

Mają państwo przed sobą szaleńca, tak właśnie byłem nazywany. Kiedy zakładałem WZZ, to Kuroń powiedział – co, wy chcecie walczyć o krzesła do stołówek? W tym ustroju wolnych związków się nie zrobi. A ja powiedziałem – zobaczymy. Sam nie do końca wierzyłem, że dożyję czasu, kiedy one będą działały legalnie. Jednak drogi Opatrzności są niezbadane. Ale muszę przedstawić to od początku – skąd się to wzięło, skąd ta inicjatywa? Pochodzę z rodziny robotniczej. Mój ojciec był wielkim patriotą. Przed wojną, kiedy nie miał pracy w budownictwie, przemycał do Związku Sowieckiego literaturę antykomunistyczną. Można sobie wyobrazić, co mu groziło, gdyby go złapano. Jestem zaszczepiony miłością do Boga, Ojczyzny i Narodu. I często zastanawiałem się, jak można by walczyć z komuną, jak można by ją obalić? Prowadziłem warsztat radiowo-telewizyjny na Śląsku, w Katowicach. Naprawiacz telewizorów to jest człowiek, który dużo chodzi „po domach”, a tam – jak u fryzjera – ludzie się zwierają, otwarcie dyskutują. Wtedy każdy narzekał. I ja się zastanawiałem, co zrobić, czy założyć partię polityczną, czy naprawiać stare związki, czy zakładać nowe. Pytałem o to tych moich klientów i znakomita większość z nich mówiła, że trzeba zakładać wolne związki zawodowe. Zacząłem pisać listy do CRZZ, ale odpowiedzi nie miałem.

Nadarzyła się nieoczekiwana okazja – słyszę w Radiu Wolna Europa, że w Warszawie jest głódówka w obronie robotników Radomia i Ursusa. Pojechałem tam. Wchodzę do kościo-

ła św. Marcina, pytam siostry w zakrystii, gdzie tu jest ta głodówka, a ona nie bardzo chce mi powiedzieć. Ale zaraz za mną wszedł Stasiu Barańczak, jeden z członków KOR. Jemu siostra pokazała drogę, więc ja za nim. Przychodzę do klauzury, siostra mówi – zawołam księdza (dzisiaj biskupa) Dembowskiego. I on mówi: a my pana nie znamy. Ale miałem jeden argument – kiedy powstał KOR, chciałem się do niego przyłączyć i napisałem list. Nie wiedziałem, czy ten list do nich taką normalną drogą dotrze, więc poprosiłem o jego przekazanie znajomego księdza Skworca, który był wtedy kapelanem biskupa. Mieszkam obok probostwa, byłem zaangażowanym katolikiem, w parafii się udzielałem, znali mnie. I na tej głodówce okazało się, że ten list do KOR, do pana Lipskiego dotarł. I przyjęli mnie, choć nie wszyscy byli z tego zadowoleni. Miałem szczęście, bo było ich dwunastu, Barańczak był trzynasty, więc wzięli mnie jako czternastego. Razem z grupą przetrwałem jakoś głodówkę. Od tego zaczęła się moja droga. Od dwóch lat starałem się o lokal dla tego mojego pogotowia telewizyjnego, które mieściło się w moim mieszkaniu. Gdy wróciłem z Warszawy, zaproszono mnie do Miejskiej Rady Narodowej, gdzie mi powiedzieli – panie Kazimierzu, mamy dla pana na warsztat trzydzieści lokali w Katowicach przy głównych ulicach, do wyboru. Jeździ pan taką starą syreną, my mamy dla pana talon... Niech pan się nie martwi o pieniądze, jest Bank Rzemieślniczy. – Chętnie skorzystam. – Ale pan musi zaprzestać działalności. – Przecież ja nic nie robię, byłem tylko na głodówce w obronie robotników. – To niech pan przyjdzie na drugi dzień. Po tej rozmowie obstawili dom i już było po wszystkim, zaczęły się szykany.

Gdy byłem na głodówce i powiedziano mi, że KOR nie przyjmuje w swoje szeregi robotników, byłem zaskoczony. Znalazłem sobie miejsce w Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela. Założyłem w moim mieszkaniu punkt konsultacyjno-informacyjny ROPCiO, spotykaliśmy się raz w tygodniu, we czwartki. Wszyscy, którzy tam przychodzili, byli kontrolowani, zatrzymywani, aresztowani, ale punkt jakoś istniał. Ponieważ oficjalne związki zawodowe nie chciały się kontaktować ze mną, a z mojego sondażu wynikało, że ludzie chcą coś zrobić, założyłem wolne związki. Informację o tym podałem przez telefon zachodnim dziennikarzom 23 lutego 1978 r.

Od tego momentu każdy człowiek wychodzący z mojego mieszkania jechał na komendę (mieszkam blisko komendy, nie było problemu). Mnie zabrali drugiego dnia. Dwóch szybko wyłamało się z naszego towarzystwa, ale władza miała swoje sposoby na tych, którzy z nią zadzierali. Te doświadczenia szykan doprowadziły nas do wniosku, że nie będziemy apelować o oficjalne działania w zakładach pracy, lecz o zakładanie konspiracyjnych komitetów WZZ. Nasz region był szczególnie naszpikowany Służbą Bezpieczeństwa, we wszystkich zakładach. Gdzie się tylko człowiek pokazał, to miał obstawę. Proszę sobie wyobrazić, wokół czterech działających ludzi (było nas ośmiu, z tego czterech było agentami) było 247 tajnych współpracowników, tak nas obstawiano. Niektórzy koledzy, np. z Gdańska, dziwią się, że my nie mieliśmy wielkich wyczynów. Nie mogliśmy ich mieć, bo my na ogół siedzieliśmy w kryminale. Szykanowano nasze dzieci. I choć nie mieliśmy tych wielkich osiągnięć, to pokazaliśmy drogę ku wolności. Gdyby nie było tej naszej inicjatywy – wolnych związków – może nie byłoby „Solidarności”? Ta grupka ludzi, która odważyła się na działanie, była niesamowicie szykanowana.

Chcieliśmy wydawać wspólnie „Ruch Związkowy”. Pojechaliśmy razem z Kściuczkiem, który już nie żyje, do kolegów do Gdańska, chcieliśmy pogadać (każda nasza podróż kosztowała nas zawsze 48 godzin w jedną i 48 godzin w drugą stronę). Niestety, nie dogadaliśmy się, i to było dla mnie przykre. Pamiętam z tego pobytu, że na wiaździe siedział w kącie

przyszły przewodniczący i prezydent. Pytam się kolegów – kto to jest? A, to jest ten od plakatowania.

Od założenia wolnych związków pozwolono mi jeszcze pracować do maja. Przed domem na stałe było czterech esbeków, na każdym rogu po jednym i piąty w samochodzie. Gdziekolwiek bym się ruszył, to trafiałem na jednego z nich. Cały ten czas był dla mnie wielką szkołą życia. Nie mam wyższego wykształcenia, mam wykształcenie zawodowe, ale mogę poszczycić się tym, że uczyły mnie i więzienia, i wszystkie życiowe przeszkody, jakie tworzyła nam kochająca nas SB.

Krzysztof Wyszowski – Z pewnością najważniejszą różnicą między środowiskiem katowickim a naszym było to, że Kazimierz tworzył WZZ w kontekście ROPCiO, a grupa, która inicjowała powstanie WZZ na Wybrzeżu, działała w środowisku KOR. Mówiąc o wolnych związkach, nie sposób nie wspomnieć o KOR w ogóle, a szczególnie o działaczach „Robotnika” (Ludka i Henio Wujcowie przyjechali na dzisiejsze spotkanie). Ta różnica miała bardzo poważne konsekwencje. Mnie osobiście najbardziej interesowało – być może byłem najbardziej zideologizowany – według jakiej koncepcji mają działać WZZ w PRL, czyli w komunizmie: według koncepcji „komisji robotniczych” [opcja KOR – red.] czy według klasycznej formuły. Ja byłem zwolennikiem budowania normalnego związku zawodowego, takiego, jakie funkcjonowały w normalnym państwie kapitalistycznym, czyli w systemie wolnorynkowym, gdzie związki zawodowe są reprezentantem załogi i nie zajmują się kontrolą produkcji czy współpracą z dyrekcją. Są opozycją, są biegunem przeciwnym w stosunku do właściciela. Oczywiście można powiedzieć, że to było dziwactwo, ponieważ u nas właściciel był monopolistyczny, państwowy, więc ta opozycja była bardzo szczególna. Trudno w takiej sytuacji mówić o jakiejś równoprawności stron, ale wydawało mi się, że to jest ruch w kierunku wolności i demokracji, który później będzie mógł funkcjonować nadal, po odzyskaniu wolności. W moim przekonaniu komisje robotnicze [nawiązujące do tradycji Komunistycznej Partii Hiszpanii z okresu dyktatury Franco – red.] były kierunkiem bardzo niebezpiecznym – z jednej strony pozbawiały władze pełni kontroli nad zakładem pracy, z drugiej strony były elementem, który (ideologicznie) komuniści mogli wbudować w system.

Joanna Duda-Gwiazda – KOR był inspiracją dla wszystkich grup opozycyjnych, które ogłaszały jawnie swoją działalność, ponieważ on pierwszy to zrobił. Przykro mi to mówić, ale KOR był przeciwny powołaniu wolnych związków zawodowych również na Wybrzeżu. Krzysztofowi w jakimś momencie udało się przekonać Kuronia, żeby się zgodził. A po co była potrzebna zgoda KOR? Obawiając się natychmiastowych represji (nie byliśmy w stanie przewidzieć ich skali i wagi), chcieliśmy, żeby po powołaniu WZZ była o tym informacja w „Wolnej Europie”, a to można było osiągnąć tylko przez KOR. Andrzej i ja jesteśmy inżynierami, ruchem związkowym tak zanadto nie interesowaliśmy się, ale od razu, z góry przyjęliśmy jedno założenie – żyjemy w systemie komunistycznym, doświadczenia związków zawodowych działających w innym systemie nie są dla nas zbyt przydatne. Wiedzieliśmy, że trzeba wypracować jakieś sposoby działania, metody i zasady organizowania wolnych – czy też w ogóle – związków zawodowych w systemie komunistycznym. Skoro zadaniem związków zawodowych jest walka z wyzyskiem i poprawa warunków życia i pracy ludzi pracy i ich rodzin, to nie ma ich co dzielić na robotników i nierobotników. Zakładaliśmy związki zawodowe pracowników najemnych. Rozumowaliśmy tak – w naszym systemie je-

dynym pracodawcą jest państwo, a imiennie wskazując – KC PZPR i „centrala” w Moskwie. Automatycznie stawialiśmy się w jawnym, otwartym konflikcie z systemem. Wzysk też był dwupiętrowy. Wzyskiwani byli pracownicy w zakładach pracy, ale eksploatowane przez imperium były również przedsiębiorstwa i cała Polska była eksploatowana. W Wolnych Związkach Zawodowych Wybrzeża nikomu nie trzeba było tłumaczyć, że potrzebna nam jest suwerenność gospodarcza, niepodległość – jakby dobrze poszło, przestrzeganie praw obywatelskich, demokracja itd. Wynikało to wprost z samego celu, jakim była walka z wyzyskiem.

Gdy zaczynaliśmy naszą działalność, zauważyliśmy taką rzecz – KOR, mimo że udało mu się bronić robotników i rzeczywiście im pomóc – był wobec społeczeństwa trochę taką zewnętrzną instytucją. KOR bronił robotników. A myśmy uważali, że społeczeństwo nie jest ani głupie, ani upośledzone umysłowo i może się bronić samo. Mówię społeczeństwo, bo wtedy cała Polska to byli pracownicy najemni. Pomysł organizowania się w WZZ wydawał nam się bardzo dobry i skuteczny, była tylko kwestia, czy chwyci. Potrzebny był szyld, bo ludzie bardzo potrzebowali identyfikacji. Na przykład jak rozdawali gazetki, to mówili – jestem członkiem KOR, choć wcale tak nie było. Instytucja, organizacja, o której będą mogli powiedzieć – my jesteśmy z tej organizacji – wydawała się nam bardzo potrzebna. Jeszcze było potrzebne takie przekonanie, że my mamy prawo. Formalnie to prawo dawała Związkowi Międzynarodowa Organizacja Pracy [Polska ratyfikowała jej konwencje gwarantujące wolność zrzeszania się w związki zawodowe – red.].

Wszyscy pracowaliśmy „dla szczęścia przyszłych pokoleń i ogólnie całej ludzkości”, w doktrynie marksistowskiej nie istniały potrzeby pojedynczego człowieka. Środkiem przymusu, który stosowała ta doktryna do eksploatacji ludzi, była przede wszystkim dyscyplina pracy i akord. To powiedzenie: czy się stoi, czy się leży, dwa tysiące się należy, to są bzdury. W akordzie właściwie pracowali wszyscy. Jeśli ktoś nie pracował w akordzie, to pracował na dniówkę, jak pracował na dniówkę, to zarabiał poniżej tzw. minimum biologicznego. Praca na akord niesamowicie niszczy psychikę i fizyczne siły człowieka, a to była istota systemu. Mieliśmy całkiem udane akcje, żeby skończyć z tym wyzyskiem, odzyskanie nadgodzin. Przede wszystkim chcieliśmy być tzw. normalnym związkiem zawodowym, więc np. zorganizowaliśmy wycieczkę naszych działaczy i członków do teatru, mecz piłki nożnej z drużyną Ruchu Młodej Polski (wtedy odkryliśmy, że jednak chłopcy z rodzin inteligentkich, studenci, są znacznie lepiej odżywieni, silniejsi niż nasi koledzy pracujący fizycznie, niż młodzież robotnicza). Zajmowaliśmy się nie tylko sprawami funkcjonowania zakładów pracy, ale także takimi jak np. akcje informacyjne o tym, że formaldehydy trują mieszkańców „wielkiej płyty” czy że fosfogipsy tworzą rakotwórcze środowisko w całym południowym Gdańsku.

Andrzej Gwiazda – W 1976 r. odpowiedzieliśmy z Anką listem na apel KOR, za co dostaliśmy zakaz przekraczania granic kraju, podsłuch i obstawę (Liczyliśmy się z ostrzejszymi represjami – przeanalizowaliśmy sytuację ekonomiczną Gierka, z czego wyszło, że on jest na tyle uwikłany w długi i opinię na Zachodzie, że więcej jak po trzy lata za to raczej nie dostaniemy.). Po pierwszych kontaktach z KOR próbowaliśmy zrozumieć, dlaczego humaniści się buntują. My humanistów postrzegaliśmy jako pieszczoszków systemu, siebie zaś jako grupę gnębioną, natomiast oni (humaniści) uważali, że pieszczoszkami systemu są inżynierowie i tzw. klasa robotnicza, ich za to gnębi cenzura. Z tych to względów trudno mówić o inspiracji. Widzieliśmy, jak Polacy są w pracy oszukiwani, wyzyskiwani, eksploato-

wani – i to było naszą inspiracją w przystąpieniu do opozycji. Jak się potem okazało, nasze przystąpienie do opozycji było bardzo niezręczne, bo my byliśmy na liście rezerwowej do komitetu wojewódzkiego. Nie byliśmy członkami partii, ale Gierek zaczął już sięgać po bezpartyjnych.

Historia gdańskich WZZ nie jest poznana do końca, bo np. dowiadujemy się, że poza naszą wiedzą był taki nurt – przechwytywania rad zakładowych związków ceerzetowskich. My myśleliśmy, że przypadek Lisa w Elwirze był jedyny, ale okazuje się, że z taką propozycją przyjechali na strajk eksperci. A ponieważ tak się złożyło, że ja zostałem pełnomocnikiem ds. ekspertów, to mogłem im podziękować za takie koncepcje. Były więc różne kierunki, różne inspiracje. Z KOR trzymaliśmy dlatego, że oni mieli naprawdę duże osiągnięcia w obronie ludzi z Ursusa i Radomia, którzy dzięki nim byli dość szybko zwolnieni.

Związki zawodowe miały tę zaletę, że działając „na niskim poziomie”, weryfikowały się w działalności z dnia na dzień, to było bardzo widoczne i odczuwalne w przeciwieństwie do innych pomysłów, które obiecywały różne rzeczy w niesprecyzowanej przyszłości. Gdy potrafiliśmy w konkretnym zakładzie doradzić załodze, jak wyjść na swoje, wtedy rósł autorytet i ludzie mogli się przekonać, że to jest struktura, która jest w stanie im pomóc i jest w tym kompetentna. Stosunek do niepodległości w WZZ wynikał z poglądów ludzi, którzy przychodzili na spotkania mające charakter seminariów, wykładów. Gdy zaczynaliśmy analizować ekonomię przedsiębiorstwa, to okazywało się, że w każdej fabryce ogromne pieniądze pochłania produkcja dla Związku Sowieckiego. Wiadomo było, że ZSRS nas po prostu okrada i my musimy za darmo na nich pracować. I każdy członek WZZ na pytanie – po co nam jest potrzebna niepodległość? – odpowiadał od razu całą serią przykładów i konkretnych. Niestety, na to pytanie nie umieli odpowiedzieć członkowie KPN, traktując niepodległość jako abstrakcyjną ideę.

Mirosław Witkowski – W Szczecinie komitet założycielski Wolnych Związków Zawodowych powołaliśmy osiem miesięcy przed wybuchem sierpniowym, więc nie mieliśmy takiego stażu i doświadczenia, jak chociażby działacze z Gdańska. Ale zanim powiem o przyczynach i inspiracjach, chciałem zwrócić uwagę na to, że kiedy wybuchły strajki sierpniowe, to w Szczecinie pierwszym zakładem nie była Stocznia im. Adolfa Warskiego, tylko Stocznia Remontowa „Parnica”, w której działali nasi ludzie. Na przykład Aleksander Krystosiak wraz z naszymi działaczami popłynął wówczas łodzią kanałami do stoczni Warskiego, ponieważ od strony miasta stocznia była odcięta, otoczona przez SB. I nasi działacze, wchodząc do stoczni, mówili – odłóżcie narzędzia, Gdańsk stoi, przyszedł już ten czas! Mówię o tym dlatego, że bardzo często pomniejsza się rolę i udział szczecińskich WZZ. Nie chcę jej powiększać, ale gdy mówi się, że Szczecin wtedy tak bardzo mało zrobił, to trzeba pamiętać, że działaliśmy tylko osiem miesięcy.

Inspiracją dla nas był oczywiście Gdańsk, który te wolne związki tak „rozbujał” i prężnie to wszystko organizował. My na Pomorzu Zachodnim też czuliśmy, że jest potrzebny szyld, i identycznie myśleliśmy o tych, którzy już działali – skoro im głowy nie ucięli, to i nam nie utną. Pamiętam też, że potem, kiedy siedziałem już w obozie internowania, zobaczyłem, jak niektórzy działacze z Warszawy piszą z obozu do gazet podziemnych. Też zacząłem tak robić i obserwowałem, czy ich aresztują, czy nie. Jak zaczęły się aresztowania, to przestałem pisać, bo nie chciałem iść do więzienia.

W tym okresie, kiedy byliśmy zwykłymi działaczami, sprowadzaliśmy pisma, ulotki, „Robotnika”. Uważaliśmy, że jest potrzebny program, jakaś idea. Powołując Komitet Wolnych

Związków Zawodowych, będziemy mieli lepszy szyld i dzięki temu więcej działaczy; przyciągniemy więcej ludzi, a przecież o to chodzi w takiej działalności. Potrzebny był kontakt ze środowiskami robotniczymi, uważaliśmy, że jeśli coś można zdziałać, to właśnie tak należy to organizować. Początki były zwyczajne, ale myśmy to przygotowywali dość długo. Wiele osób nam odradzało, mówiąc, że nie damy sobie rady. Na początku rzeczywiście było bardzo trudno – tuż po powołaniu komitetu nastąpiły takie represje, że przez pewien czas nie można było prawie nic robić, ponieśliśmy pewne straty materialne w postaci przejętych przez nich maszyn, ale robiliśmy tyle, ile można było. Kiedy już powstał komitet zakładowy w stoczni Warskiego, to weszli do niego działacze z roku 1970.

Stefan Kozłowski – Ale mimo wszystko nie byliśmy tak wystawieni na świeczniku jak Kazimierz Światoń. Chciałem mu podziękować, że wszystko wytrzymał i nie ugiął się. Dla mnie osobiście był postacią (może niekiedy kontrowersyjną) bardzo ważną. Myślałem wtedy, że chciałbym być taki jak pan Światoń.

W Szczecinie od roku działał już Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela. Był punkt konsultacyjny, bardzo dla nas ważny, bo to był pierwszy kontakt z niezależną prasą. Były też wizyty członków i współpracowników KOR w Szczecinie, było Radio Wolna Europa. To wszystko było bardzo ważne. Najpoważniejsze dyskusje, takie teoretyczne, toczyły się po powstaniu Karty Praw Robotniczych. To był moment przełomowy, dopiero wtedy uświadomiliśmy sobie tak naprawdę, o co chodzi. Odtąd mieliśmy już wspólną platformę porozumienia z robotnikami, z pracownikami. I to był kolejny krok. WZZ w Szczecinie były tego konsekwencją. Z własnej perspektywy patrząc – mieliśmy kontakty z robotnikami, każdy pilnował swoich kontaktów w zakładach, opiekował się tymi robotnikami. Przystępując do WZZ, ludzie mieli różne motywy – oprócz potrzeby chleba i pracy były też motywy narodowe, patriotyczne. To wszystko było widoczne później także w „Solidarności”. Ale chcę podkreślić, że w WZZ jedną z najważniejszych spraw był bezpośredni kontakt z ludźmi, dziś powiedzielibyśmy, ze społeczeństwem, ze środowiskiem lokalnym. To miało swoje konsekwencje. Ja wtedy pracowałem jako robotnik i nawiązywałem kontakty w różnych środowiskach. Od 1979 r. miałem już kontakty m.in. w Stoczni Remontowej „Parnica”, w Zakładach Komunikacji Miejskiej. Te dwa zakłady ukazały się kluczowe dla strajków szczecińskich – „Parnica” uruchomiła stocznię Warskiego, a kiedy komunikacja miejska stanęła, miasto siłą rzeczy przestało funkcjonować, więc wszyscy musieli przyłączyć się do strajku.

Kontakty w środowisku robotniczym były dla mnie najważniejsze. Ja się przyjaźniłem z tymi ludźmi, później też często się spotykaliśmy. Jeśli ktoś z nich raz zdecydował się wejść na drogę czynnego (czy też biernego, bo samo czytanie prasy niezależnej też wymagało odwagi) oporu, to na ogół konsekwentnie kroczył tą drogą aż do momentu strajku w 1980 r. Kontakt z tym środowiskiem z dzisiejszej perspektywy daje mi najwięcej satysfakcji, bo tam był największy oddźwięk i największa konsekwencja w postępowaniu. Ludzie łatwo się nie dawali, często byli w działaniu bardzo sprytni. W tym środowisku było dużo działaczy o rodowodzie akowskim czy winowskim, którzy często po wojnie mieli wieloletnie wyroki. Ja się od nich wiele nauczyłem – na przykład my na co dzień stosowaliśmy zasady okupacyjnej konspiracji. Często nie wiedzieliśmy, kto działa, dopiero np. w okresie strajków okazywało się, że na ich czele stoją ludzie z AK, z WiN, z podziemia wojennego i powojennego. Oni, szczególnie w tych mniejszych zakładach Szczecina, odgrywali bardzo ważną rolę.

Opracowanie Barbara Polak

